



WŁADYSŁAW REYMONT
— portret malowany przez Jacka Malczewskiego.

Irena Solińska

Krawiecki czeladnik laureatem Nobla

W stulecie urodzin Władysława Reymonta

Cala Polska obchodzi w początkach maja stulecie urodzin znakomitego pisarza Władysława Reymonta. Epikiem rzeczywistości teraźniejszej nazwał go prof. Kleiner, mówiąc, iż „w darze wydobyła z największego chaosu rysów charakterystycznych, przykuwających, wrażliwych, w pamięć, w darze ich spotęgowania, wyolbrzymiania — jest on nieprześcigniony”.

W niewielkiej wsi Krosnowice dozorcą odcinka kolejowego był dwudziestoparoltni człowiek, nazwiskiem Reymont. Zamieszkał w chłopskiej chacie, żył życiem tutejszym i chyba dla wielu miejscowych gospodarzy było zaskoczeniem, gdy dowiedzieli się, że właśnie utwory ich dróżnika zostały wydrukowane w „Głosie”.

Były to wspaniałe nowele: „Suka”, „Tomek, Baran” i inne. Autor chciał przekazać, co dostrzegł, i co przeżył w najbliższym chłopskim otoczeniu. Już pierwsze próby literackie postawiły Władysława Reymonta w rzędzie znakomych pisarzy.

Potem przyszła kolej na pierwszą powieść. Była nią „Komediantka” wydana w 1896 r. W trzy lata później polska literatura wzbogaciła się o „Ziemie obiecane”. Takim ironicznym tytułem obdarzył Reymont rzecz o mieście Łodzi, o prawdziwym piekle proletariatu i drapieżnej potęgze finansjery. Późniejsze lata przyniosły cykl „Z ziemi chełmskiej” i trylogię historyczną: „Rok 1794”. Grozę wojny odtworzył pisarz w opowiadaniach „Za frontem”. Ale największym dziełem życia Władysława Reymonta pozostaną „Chłopi”. To czterotomowe dzieło ukazało się drukiem w latach 1904—1909. Przyniosło mu miano Homera pracy chłopskiej i najwyższy, choć spóźniony dowód uznania — Nagrodę Nobla w 1924 r. Reymont był drugim po Sienkiewiczu pisarzem polskim, który tego zaszczytu dostąpił.

Kto wie, czy mieliśmy drugiego laureata, gdyby młody Władzio był posłuszniejszy. Pan Józef, ojciec, organista wiejski, posyłał wprawdzie syna do szkół, bo miał iść na księdza, jak się wtedy mawiało, ale chłopcu nauka nie przypadła do gustu. Surowy tata oddał go więc do krawca. Biedził się młodzieńiec nad maszyną, łatwo zgadnąć, że szycie surdutów nie było szczytem jego marzeń. Oisniła go natomiast scena. Ponieważ terminował w Warszawie, wyrwał się do prawdziwego teatru, organizował przedstawienia amatorskie i po kryjomu pisał sztuki.

Czujni rodzice zlekli się bardzo. Sprawdzili chłopca do domu. Władzio długo nie wytrzymał i uciekł z powrotem do Warszawy. Tym razem powrócił w zacisze progi rodzicielskie w asyście policjanta. Łatwo przewidzieć, że młodzieniec — mówiąc dzisiejszym językiem — popadł we frustrację. Błąkał się po okolicy, wreszcie, nie widząc dla siebie miejsca na ziemi, postanowił szukać azylu w klasztorze O. O. Paulinów.

Opamiętanie przyszło dość szybko. Wkrótce młody człowiek z wędrowną trupą teatralną przemierza drogi od miasteczka do miasteczka. Upaja się wolnością, możliwością robienia tego, co chce. Nie współczujemy mu niepotrzebnie, iż wkrótce znowu zrozumie, że to nie to. Przyszły autor „Komediantki” już zbiera bowiem materiał do powieści. Już zaostrożny zmysł obserwacji, notuje w pamięci realia. Gdy rzuci teatrzyk, odpocznie na krótko, jako urzędnik kolejowy, by z poznanym przypadkiem okultystą znaleźć się we Wrocławiu. Na szczęście, „nauki tajemne” były mniej ciekawe, niż życie.

Taką właśnie drogą, pełną wyraża i niespodzianek, doszedł Władysław Reymont do pisarstwa. Kiedy zaczął przelewać na papier obserwacje i doświadczenia, mógł wreszcie powiedzieć sobie, że znalazł to, czego tak uparcie szukał: powołanie.

Kolejka rosła. Przede mną rozpychali się ci spod krematorium, przeważnie partyzanci z Buga, żerni, krewcy, gotowi o byle co skoczyć do gardła. Klótnie wybuchaly bez żadnej przyczyny, ot, tak tylko, żeby skrócić to czekanie na obiad, gasły też szybko, bo po prawdzie powodów do zwady nie było. Okragłogłowy kucharz dokładek nie odmawiał nikomu, można było brzech napęlić choćby w nieskończoność, tyle, że zawsze taką samą kaszą, z rozcieńczoną konserwową wieprzowiną.

Pułek zapasowy pęczniał i rozrastał się z godziny na godzinę, wciąż przybywali nowi, których kierowano tu właśnie, na ten ogromny, ogrodzony drutem plac, do pospiesznie uprzątniętych baraków, w których śmierdziało lizolem i świeżą farbą, a w oddali rysował się złowrogi komin.

— Cóż robić, ludzie kochani, w mieście ani szpilki nie wetkniesz, naród tu ciągnie jak do ziemi obiecanej, szybko was stąd przekażemy dalej, mundurki dostaniecie, pepesze, niejedno do czołgów i artylerii trafi, tylko cierpliwości trochę, tylko cierpliwości...

Oficerowie z udręka w oczach, pobladli, niewyspani, poddawali pod rozważenie te racje i na długich arkuszach spiswali gdzie się kto rodził, skąd przybył, z jakiego gniazda się wywodzi, co robił dotąd, czym się zajmował ojciec, a potem wpychali do rak ołówki i wszystko to kazali podpisywać, chyba, że ktoś był niepiśmienny, bo i takich nie brakowało, to wtedy krzyżkami potwierdzali prawdę swych zeznań.

Tak minął sierpień i połowa września, zaczęły się dni słotne, błoto mlaśkało na obozowych ścieżkach skąpo posypanych żwirem, pelzała nuda, panoszyła się plotka,

POGLĄDY·POLEMIKI·POSTULATY



DODATEK GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

Nr 288 7 V 1967 Rok VII

Ryszard Skupin wyrobił sobie opinię artysty cenionego przez szerokie kręgi odbiorców, o znacznym autorytecie u masowego widza. Nowego dowodu na to dostarczył plebiscyt widzów na wielkiej ogólnopolskiej wystawie realistów w Warszawie. Plastyk poznański zajął w tym plebiscycie zdecydowanie pierwsze miejsce, mimo że o uznanie u odbiorcy ubiegali się również plastycy tej miary np. co Krawczyk, Sramkiewicz czy Panasowie. Plebiscyt warszawski pełnił w plastyce podobną rolę co konkurs „Złotego Kłosa” w dziedzinie popularyzacji literatury. Odpowiada na pytanie jakich artystów odbiorca najwyżej ceni, za jaką twórczością się opowiada. Ryszarda Skupina poprosiliśmy więc na rozmowę przede wszystkim o czywście na temat odbiorcy, popularyzacji sztuki, na temat szans dialogu plastyk — widz, dialogu, który ogólnie mówiąc nie najlepiej się chyba obecnie układa, o czym świadczy słaba frekwencja w muzeach i galeriach.

— Zdobyć pierwsze miejsce w plebiscycie widzów — powiedział na wstępie — było dla mnie wielkim zaskoczeniem. Nigdy nie przypuszczałem, że plótka, które można by nazwać tematycznie zaangażowanymi w sprawy poważne ogólnoludzkie, polityczne i społeczne zainteresują w takim stopniu widzów. Wydaje mi się, że źródło tego trzeba szukać w zainteresowaniu odbiorców sprawą przyszłości świata, sprawą zagrożenia samego gatunku ludzkiego przez wojnę, o których to problemach staram się mówić moimi obrazami.

— Sądzi Pan więc, że prace Pańskie zdobyły sobie uznanie u widzów przede wszystkim przez ich problematykę?

— Chyba tak. Osobiście przykładem do problematyki prac ogromne znaczenie. Nie chcę być obojętny na sprawy naszego świata, wojny, tragedii. Uważam, że nie ma nic gorszego jak obojętność. A zarzut obojętności musiałbym sam postawić sobie jako artysta świadomy sytuacji, gdybym nie starał się w swych obrazach zdać sprawy ze swego stosunku do świata. Uważam, że sztuka, a szczególnie chyba właśnie plastyka operująca konkretnym i jednoznacznym znakiem i symbolem, może stać się środkiem jakiegoś porozumienia między artystami i odbiorcami na całym świecie.

— Jakie więc główne cele stawia sobie Pan jako artysta?

— Uważam, że sztuka nie może być tylko dekoracją lub estetyczną

Z MYŚLĄ O ODBIORCY PLASTYKI

rozrywką, rzeczą samą dla siebie. Powinna ona także mówić o problemach leżących poza nią, a raczej ponad nią. Moje główne poszukiwania idą np. w kierunku tworzenia obrazów symboli o charakterze humanistycznym, ogólnoludzkim. Mam wrażenie, że udało mi się to osiągnąć w cyklu płócien antywojennych (nagrodzonych nagrodą Ministra Kultury i Sztuki w 1964 roku — przyp. red.). Utwierdzają mnie w tym także właśnie głosy odbiorców.

— Skoro przykład Pan tak wielką wagę do opinii odbiorców, to czy nie sądzi Pan, że oddanie wszystkich decyzji dotyczących plastyki w ręce samych artystów zmniejszyło rolę widzów w życiu plastycznym i wytworzyło w efekcie pewien model plastyki „jurorowej”, warsztatowej, dla specjalistów?

— Wydaje mi się, przede wszystkim, że bardzo mało zrobiliśmy jeszcze dla popularyzacji plastyki współczesnej. To nie tyle winą plastyków, ile braku instytucji, która zajmowałaby się upowszechnianiem plastyki przede wszystkim w bardzo zaniedbanym pod tym względem środowisku robotniczym. Inna sprawa, to jurorowanie wystaw przez samych twórców, zapatrzonych w kierunek przez siebie reprezentowany, w warsztat. Utrzymywanie w wielu wypadkach tradycyjnej i przestarzałej cenzury w formie jury wydaje się wyrządzać więcej szkody niż pożytku. Stwarza ponadto sytuację, w której artyści nie biorą pełnej odpowiedzialności za swoje prace. Istnieje po prostu obawa powstania w Polsce sztuki „komisyjnej”, poprawnej, ale mało oryginalnej.

A co sądzi Pan, o często pojawiającym się w dyskusjach postulatcie rozbięcia Związku Polskich Artystów Plastyków na dwie organizacje, jedną dla artystów zajmujących się plastyką warsztatową, drugą — użytkową?

— Nie sądzę, aby podział taki mógł być dokonany już obecnie. Podstawą egzystencji Związku i samych plastyków jest jednak sztuka użytkowa. Dzięki niej Związek jest samowystarczalny finansowo. Dopóki nie będzie istniał jakiś specjalny fundusz na prace z dziedziny malarstwa, rzeźby czy grafiki, który gwarantowałby podstawy materialne twórcom, konieczne będzie utrzymywanie Związku w obecnej formie.

— Uważa Pan więc, że sytuacja artystów uprawiających sztukę czystą: malarstwo i rzeźbę jest nadal niekorzystna. W czym widzi Pan szanse wyjścia z impasu?

— Te, lotnik, dawaj karciochy, odburknął Słazak Achimek, niezmordowany, gdy o oczko chodziło i pokera. Tkwił tu z nas wszystkich najdłużej, wciąż na tej swojej najwyższej przycy, skąd także i w nocy, przez sen, dochodziły urwane odgłosy karcianych odzywek. — Fruwania mu się zachciwa, pomrukiwał z ironią, wyciągając rękę w stronę Borowiaka, który desperacko pluł w garść siegnął z powrotem po pogiętą, zatłuszczoną talię. — Ej, panku, panku, zachcianki masz głupie, nie lepiej to po ziemi łazić?

O dach baraku monotonna pukał deszcz, niedaleko naszych okien



Ryszard Skupin
Fot.: — K. Wendland

CIĘKAWI LUDZIE CIĘKAWY SPRAWY

— Dobrze mogą rozwijać się tylko te dziedziny sztuki, w których działają jakieś bodźce materialne i potrzeby społeczne. To, że tak pięknie rozwija się w Polsce plakat, czy tkanina artystyczna przede wszystkim jest wynikiem zapotrzebowania społecznego na te produkty. W tych też dziedzinach stworzyliśmy odrębną polską szkołę. Tutaj uzyskujemy światowe rezultaty. Pozostałe dziedziny plastyki, takie np. jak malarstwo i rzeźba, pozostawione są nadal jako twórczość „ludzi dobrej woli”, niezobowiązująca do niczego, tworzona niejako przez plastyków w „czynie społecznym”, bez światowego rynku zbytu, bez mecenatu. Sądzę, że jest tylko jedna droga wyjścia z impasu. Trzeba pokusić się o ekspansję na zagranicę. Nie na zachód jednak, który ma już dawno ukształtowane centra artystyczne lecz na wschód. Jeśli chcemy uznać kulturę socjalistyczną jako realną siłę w kształtowaniu świadomości społecznej społeczeństw musimy stworzyć wspólny ośrodek kultury bloku socjalistycznego. Rywalizacja na tym polu mogłaby stworzyć właśnie okazję do powstania większych i ambitniejszych prac w plastyce.

Rozmawiał:
OLGIERD BŁĄŻEWICZ

Jerzy Korczak

W pułku zapasowym

OPOWIADANIE

lasów wypchnięto na podchorążówkę, co wzbudziło wśród innych niepokojącą zazdrość; każdy kto choćby raz puknął z karabinu uważał, że jest goźdź gwiazdki, a tu jeszcze gęsto porozklejane afisze, plakaty zapewniali, że nie matura, lecz chęć szczerza...

— A co do lotników, nie słysze liście który? Jest szkoła, czy nie ma? — Chudy Borowiak, rodem z Końskich, podrapał się po policzku, przeciętym od ust do oka podłużną szramą i stwierdził ze złością: „Fura!”. Zaraz też trzasnął kartami o kant przycy i czochrając się po słomistej czuprynie uskarżył się z żalością: — Dość mam tego. Od nikogo prawdy się nie dowiesz. Jeden tak gada, drugi inaczej. Jeszcze człowieka do taborów wpakują, i tak się skończy.

zmieniano posterunki, pospieszne komendy i odgłosy kroków przypominały, że to jednak wojsko. Narzuciłem na siebie koc. Było mi zimno, cienką, płócienną bluzę o wojskowym kroju uszyła mi ze zwykłego prześcieradła pewna czarnulka. Pożegnałem ją przed dwoma miesiącami na punkcie kontrolnym tuż za niewielką osadą na prawym brzegu Wisły. Teraz rysy jej twarzy z wolna się zamazywały. Byłem zadowolony, że tak się dzieje. Odganiałem ze swoich myśli wszystko, co przypominało przeszłość. W to miejsce starałem się przywołać inne obrazy: front, natarcie, zabitych Niemców. I siebie przy plującym seriami cekaem. Nie zawsze mi się to udawało. Nie wiedziałem, jeszcze wtedy, że i tam, wśród huku, wrzasku i pękających pocisków owa

czarnulka będzie do mnie powracać bardziej natrętnie niż tu, gdy na tej przycy gnuśniałem w nieróbstwie.

— A ty, Zbyszek, co chcesz robić? Możeby się tak o przepustkę postarać i wywieźć co w trawie piszczy, nagabywałem mego sąsiada, zajmującego uprzywilejowaną dolną przycę. Niemożebnie mi imponował ten długonogi mędrak o kwiecistej wymowie i bohaterskiej przeszłości w nadburzańskich lasach, z której zwierzał się często, nie żalując pełnych zgrosz szczegółów. I choćby wątpił o tym czy owym wyczynie, i tak w końcu musiałeś uwierzyć w tych hurtem gromionych esesmanów, banderowskich jeńców i wyskakujące na minach pociągi, pełne po zęby uzbrojonych szwabów.

Zbyszek zsunął teraz z przycy swoje nogi w zaprasowanych portkach, które na noc troskliwie wsadzał pod prześcieradło. Żeby jak najdłużej utrzymać kanty, ukazał czubek staroświeckiego buta, zapinanego na guziki i tłumiac ziewanie zaproponował, żeby przejść się do drutów. Tam czekały na nas dwójka atrakcje: handlary z białymi naleczakami w koszach i dziewczyny z batalionu łączności, który rozstawał się po drugiej stronie szosy. Należczaka można było dostać za garść przydziałowej machorki, na dziewczyny mogłeś tylko popatrzeć, i to też wtedy, gdy los sprzyjał, bo w ryzach trzymano je mocno, ganiano je tam i napowrót, żeby tylko nie miały czasu na grzeszne myśli, od których „wola wiotczeje, a ciało mdleje”. Jak to kiedyś zrymował kandydat na lotnika, Borowiak z Końskich, stojąc przy drutach w apatycznej zadumie.

— Pójdę chyba na politycznego, zdecydował nagle Zbyszek, wgr-

Dokończenie na str. 2

Wniosek w sprawie wniosków

Nie przypominam sobie, by słowo „wniosek” grało w życiu poprzednich pokoleń rolę tak istotną, jak obecnie. Określenie „wniosek” kojarzyło się, jeśli wspomnieć lata międzywojenne, najczęściej ze staraniami o uzyskanie pracy.

Gdyby użyć dozy patosu, rzekłoby się: wyraz „wniosek” zrobił za czasów władzy ludowej kołosalną karierę. Pomijając nawet niesławnej pamięci stopy wniosków o przydział mieszkań, które to stopy zredukowała nowa polityka lokalowa — to poza tym...

No, właśnie, proszę o chwilę pamięciowego wysiłku: ostatnie dziesięciolecie i — wnioski. Mam ich na kopy. Zmienił się ich charakter. Nabraly znaczenia. — Nauczaliśmy się lepiej dostrzegać ich sens. Zapamiętała moda — w skali kraju i... rodziny — na wyciąganie wniosków z tego, co zostało dokonane, co i o ile lepiej można było zrobić, i co najpilniej do zrobienia pozostaje.

Dobry utart się obycajście wyciągania wniosków przy najrozmaitszych okazjach, które niesie nasze rodzynkowe życie społeczne.

Przed wszystkim upowszechniło się ostatnio wysuwanie wniosków — postulatów przez obywateli, przy licznych okazjach. Padają więc wnioski — postulaty podczas rad fabrycznych załóg, w toku zebrań organizacji zawodowych, na odprawach organizacji politycznych, na posiedzeniach organizacji społecznych, na spotkaniach środowiskowych, organizowanych przez Front Jedności Narodu.

Dobrze to, czy źle, że wnioski są wysuwane? Na pewno dobrze. Tam, gdzie się nie milczy, tam, gdzie ludzie występują z bliskimi sobie sprawami — można oczekiwać, że na gadaniu się nie skończy, że ludzie, zaangażowani w problemy swojej fabryki, wsi, czy ulicy, dołożą wysiłku, by po prostu szukać rozwiązań. Naturalnie, jeśli ich wnioski zostaną potraktowane serio przez osoby kompetentne.

Otóż i sedno sprawy! Każdy wniosek ma, jak medal, dwie strony i stanowczo nie wystarczy odnotowanie przez aktywistę, że jakieś tam zebranie było dobre, bowiem zgłoszono wiele wniosków. Ale — czy były one realne? Czy więc nie proponowano budowy przysiółkowej opierki — jak kiedyś w Ostrowie — bądź sztucznego lodowiska w Rycynole? Na ogół obywatele nie zgłaszają postulatów niedorzecznych. Częstokroć jednak słuszne wnioski, nie są jeszcze realne, z racji, czy to nie dość zasobnej państwowej kasy, czy z innych względów.

Padają też wnioski pod adresem NIEWIADOMEGO, a gdyby poddać je analizie, być może, iż — niczym bumerang — wróciłyby do „nadawców”. Domagają się bowiem wnioskodaw-

cy czegoś, co w decydującej mierze zależy od nich samych; od stopnia ich zorganizowania, co dosadnie, jak sądzię, można zilustrować przykładem lokatorskiego zebrania, gdzie gremialnie żąda się, by w tym, czy innym bloku panował porządek.

Zjawisko występowania z wnioskami nasuwa także refleksje innej natury. Nie sposób niejednokrotnie oprzeć się wrażeniu, że to, czy inne środowisko, to, czy inne kierownictwo zakładu pracy — na co dzień raczej bierne — aktywizuje się, jakby od święta. Oto na wezwanie CRZZ, lub naczelnych władz partii, nagle pojawia się tu i tam żywiołowy korzystać z szarych komórek. A bez VII Plenum KC, lub innej podanej okazji — to już, panowie, ani rusz? I czy, aby na pewno nie można było zrobić we własnym zakresie? Bez mitycznej Warszawy? Tak z ręką na sercu, bez asekurancja, bez dozy błogostanu bierności?

I jeszcze z drugiej beczki. Pada na przykład rzeczowy wniosek, by nową szkołę postawić nie tam, gdzie proponowano, lecz gdzie indziej, co będzie z korzyścią dla dzieci, słowem — z korzyścią dla interesu społecznego. Wniosek załatwiono, czy załatwia się, korzystając z pierwotnego zamierzenia. Kropka.

Otóż, sądzę, na tej kropce nie powinno się poprzestawać. Rodzą się przecież pytania: czy potrzebne było aż jakiegoś zebrania, by do kogoś dotarła owa zdrowa myśl, a także — jak został potraktowany ktoś, odpowiedzialny za dotychczasowy, niezadowolający stan rzeczy. Jeśli bowiem okazuje się, że szkołę, sklep, lub przystanek autobusowy zlokalizować trzeba było ostatecznie w innym miejscu — to za tym kryje się czyjaś nieprzemysłana — społecznie niepożądana decyzja. Po to, by takich decyzji było jak najmniej, należy chyba widzieć wyrażenie także drugą stronę wniosków: mimowicie ich częstokroć konstruktywnie krytyczne ostrze.

Mamy też do czynienia z wnioskami powtarzającymi się; dotyczą one albo tych samych spraw w jakiejś okolicy, mogą też dotyczyć jednego problemu, choć są zgłaszane w różnych punktach kraju. W tych przypadkach nie byłoby chyba od rzeczy, potraktowanie serii postulatów, jako zinniska oddanego warsztatu zinnisi rad, czy nawet Sejmu.

Utarło się u nas odnotowywać: „w gromadzie (fabryce) X zgłoszono 125 wniosków”. A potem następuje sakramentalna formuła: „...z tego załatwiono tyle a tyle”. Szanując zwięźłość, ośmieliłem się jednakże zaproponować rubrykę trzecią: jakie ze zgłoszonych wniosków wyciągnięto wnioski?

zając zeby w białutką bułkę o chrupkiej, złotawej skórce. — Życie lepsze, mundurek cacany, gadane trzeba mieć, nic więcej.

— Gadane nie wystarczy. Najwięcej właśnie oni giną.

— Kto ci o tym mówił? — Grdyka na jego cienkiej szyi poruszyła się.

— Od kościuszkowców wiem. Od tych, co wkraczali pierwsi. Zresztą by cię chyba nie przyjęli.

— Tak myślisz?

Nie zdążyłem przytaknąć. Achimek szybko łapiąc oddech szarpnął mnie za plecy.

— Prześcianię wybałuszać ślipia na te freki. Inspekcyjny was szuka. Tylko na jednej nodze.

— Ćwiczenia?

— Gdzie tam. Placyk przed barakiem trzeba wyręczyć. Orzeł z pokruszonych kamyków ma być gotowy do wieczora. To rozkaz samego majora.

— Diabli nadali, burknął pod nosem, zły i rozczarowany. Przez chwilę miałem nadzieję, że to jakiś „kupiec” z podchorążówki przysłał Achimka po mnie, właśnie po mnie, jako, że licząc przeciw parę klas gimnazjum, a i o konspirację się otarłem. A tu masz babo plackę: orzeł z pokruszonych kamyków! Złorzecząc i pomrukując, że wojsko w kamieniarzy zamieniają, zabraliśmy się do roboty. Razem z Achimkiem leniwie obstukiwaliśmy cegły, a Borowiak ciągnąc za sobą ręczny wózek wyprawił się na drugi koniec obozu po małe kamyki. Wrócił stamtąd bez kamieni, ale za to obładowany nowinami, które rad był z siebie co rychlej wyrzucić.

— Jest szkoła lotnicza, tylko za Uralem. Paru z pulku już tam wybrali. Podobnie jeszcze w tym roku będą tę szkołę przenosić do nas. Co robić, radzicie, chłopaki...

Wzruszyłem ramionami. — Ural daleko. A i to jeszcze nie wiadomo czy byś się nadał. Zdrowie trzeba mieć z żelaza; uszy, ślipia, dudy, serce...

— Zdrowie to ja mam! — Borowiak grzmotnął z całych sił swoją pierś okrytą umorusaną fufajką, którą zdobył jakimś przemysłowym i tajemniczym sposobem. — U nas na odpust przyjechał raz taki jeden z aparatem do mierzenia pojemności płuc. Wiecie ile miałem?

— No ile? — spytał Zbyszek, który siedział na dużym kamieniu i patrzył przed siebie.

— Przeszło trzy tysiące centymetrów sześciennych!

— To tyle co wyrośnięty goryl, mruknął Zbyszek, ani myśląc zejść z tego swojego kamienia i choćby palcem ruszyć.

Borowiakowi odebrało mowę. Trwało to krótko, sekundę, może dwie, i zaraz przyskoczył do tamtego z pięściami. Pewno nie obyło się bez bójk, nerwy stargane nierobstwem były stale napięte, byle głupstwo starczyłoby zabierać się do mordobicia. Ostudził go tylko ostrzegawczy szept Achimka. Wąską ścieżką od wejściowej bramy zbliżał się nasz polityczny. Pochylił się nad cegłą obłukując ją z nagłym przejęciem. Spod naszych rąk odsłaniały niekształtne bryłki, zgarnialiśmy je na kupę, pospiesznie, gorliwie, nawet Zbyszek złapał jakiś patyk i zaczął nim skrobać po ziemi, chcąc, aby kontury naszego ptaka przypominały choć z grubszą piastowskiego orla.

Cały ten sztuczny pośpiech był jednak w ogóle niepotrzebny. Porucznik stanął przy nas nie okazując żadnego zainteresowania tym co robimy. Usiadł na kamieniu, z którego przed chwilą zlaź Zbyszek i ściągając z głowy miękką połówkę popatrzył na nas tak, jakby to, że tu tkwimy było jego osobistą winą. To spojrzenie odebrało nam chęć, by mu jak zwykle wiercić dziurę w brzuchu. „Obywatelu poruczniku, jak długo jeszcze?”, „Obywatelu poruczniku, dokąd nas przydzielą?”. I tak w koło Macieju. Tym razem on zaczął pierwszy. „To już ostatni tydzień, chłopcy. Jak dobrze pójdzie wyfasujecie w niedzielę po sto gram i się pożegnamy!”

Po tej nowinie na naszym placyku od razu zrobiło się gwarno. Pytał każdy, jeden przez drugiego, gęsto, szybko, niecierpliwie, do naszej czwórki dołączyli ci z sąsiedniej sali, palowcy, którzy nie zdążyli na powstańca koncentrację do Warszawy, wszyscy od razu pogodzeni, promienni, teraz już tylko mundurek, pepeska do garści i hajda za Wisłę dobijają Niemca.

Tego wieczoru długo nie mogłem zasnąć. Widziałem siebie w nowiutkim, sukiennym mundurze, przepasanego koalicijką, błyszczały sprzączki, pachniała świeża skóra, mapnik dyndał po jednej stronie pośladka, tetenka w nowiutkiej kaburze po drugiej, tak właśnie jak

inny wykrzykuje coś z pogardą i zastawia mi drogę, czyjeś ręce zakleszczają mi się na skroniach. „Patrz, chłoptysiu, patrz! Musisz patrzeć, ech, mięczak z ciebie, nie zasługujesz żeby być oficerem!”. Wykręcam głowę, wywijam się, ale te obce ręce, są mocne, stukają młoty w skroniach, słone strumyczki potu ściekają za koszulę, patrzę jak tamten, już martwy, okręca się dokoła własnej osi. „Nie odwracaj się!”, słyszę nad uchem rozkaz, ciskam oczy, aż do bólu, nie chcę patrzeć na tego ohydnygo wisielca opieram się, zdzieram wreszcie cudze łapska, uciśk słabnie. Widzę nad sobą czerwoną twarz Achimka, szarpie mną, tarmosi, mruży coś szybko, niewyraźnie, nie do mnie nie dociera, tkwuję jeszcze w tym sennym koszmarnie, aż wreszcie uświadamiam sobie, że to co mówi Achimek jest ważne i niezwykle: w nocy zdezerterował Zbyszek i jeszcze kilkunastu z innych baraków, ponoć przygotowywali to od dawna, chcieli za sobą poderwać całą kompanię Wołyńiaków partyzantów, ale im nie wyszło, odmówili, sami więc, chyłkiem, wymknęli się przez dziurę w drutach, tam właśnie, gdzieś za dnia stały baby z koszmami pełnymi chrupkich naleczaków.

Staliśmy jak zwykle na apelu w szerokim czworoboku, mniej może zwartym, bo przecież nieco ludzi ubyło, ranek był mglisty, deszczowy, gęsty kapuśniaczek wciskał się za kołnierze, kwasł jeszcze bardziej żył nastrój. Ten obok, zamiast Zbyszka, kościsty dryblas w śmiesznych pumpach do pół łydki, dawny palowiec, burczał pod nosem, że teraz wszyscy dostaniemy w kość, że długo będziemy czekać, aż nas „kupcy” wezmą do swoich jednostek, bo każdy jak ognia unika parszywych, owiec, krakał tak jeszcze półgłosem i wówczas, gdy nasz polityczny swoim zwykłym, nieco matowym głosem oznajmił o tym co się stało, umilkł dopiero, gdy porucznikowi głos nagle się załamał, a było to tak nieoczekiwane, że od razu nastała cisza, tylko deszcz szumiał, dzwoniło w uszach, ludzie w bezruchu czekali co będzie dalej, a wtedy padło jedno jeszcze słowo: hańba! — po którym wszyscy, jak by byli współwinni, opuścili głowy. Ale zaraz w pośrodku czworoboku pojawiło się kilku nieznanych nam oficerów, same wysokie szarże, od majora w górę, dowódca pulku, zwany „Siwkiem”, bo siwiutki był całkiem, coś im przedkładał, raz po raz sięgając do notatek tkwiących w mapniku. Tamci kiwali głowami, patrzyli na nas uważnie, taksując, każdy, czując ten wzrok na sobie prostował się, pierś wypinał, ten i ów, aby dodać sobie wzrostu, na palcach stawał. Ale „kupcy” zdawali się tego nie dostrzegać. Padła komenda, która rozdzielała nasz czworobok na cztery równe części. Przed każdym tak sformowanym oddziałem stanął jeden oficer. Nastąpiło coś w rodzaju pożegnania i zaraz potem, niezbyt składnie, ruszyliśmy w stronę wyjściowej bramy. Dopiero na szosie wyrównaliśmy krok. Pulk zapasowy pozostał za nami.

Opowiadanie

ci, którzy pierwsi wjechali do mojego miasteczka. Że będę wojował w oficerskich szliffach, o tym nie chciałem wątpić ani przez chwilę. Gorzej, że nie mogłem zdecydować się na wybór formacji. Wszystko kuślo prawie jednakowo: dudniące czołgi, pękate moździerze, małe, podskakujące na każdej bruzdzie cekaemy. Może tylko zwykła strzelecka kompania najmniej mnie pociągała. Ale i na to przystałbym z chęcią byleby tylko na naramiennikach rozbłysła gwiazdka.

Wysoko na pryczy sapał i pomrukiwał Achimek. Wiercił się, chrząściła słoma pod jego ciężkim, niezgrabnym cielskiem, przez szpary w źle zbitych deskach osypywały mi się na twarz brudne paprochy. Przykre swędzenie odpędzalo sen. Nawet w brwiach i rzęsach zagnieździły się te ohydne, małe żyłki, trudne do pokonania, uparte, chwytliwe, tylko gęsta sabadyla dawała im rady, i to też nie na długo, ale akurat wyczerpał się zapas, dopiero za parę dni batalionowy felczerek kazał się zgłosić po nową porcję. Zasnęłam wreszcie, sen był płytki, nieoczekiwany, ale obraz tak ostry jakby na jawie, tłum szaleje, ryczy, podskakuje, a na drewnianym podwyższeniu stoi ten, którego za chwilę włożą głowę w rozkołysaną na wietrze konopną pętlę — dawny komendant obozu. Stoje w rozgorączkowanym tłumie, słucham o tym, co dzieje się blisko szubienicy i nagle, gdy już zbrodniarz ma zawisnąć, zaczynam się przepychać, szybko, coraz szybciej, byle dalej od tego widoku, ktoś wskazuje na mnie palcem, jeszcze

krainach, przez które musza wędrować dniami, miesiącami i latami... Odpowiadam: Jakże klasowo mogłoby definiować te zjawiska, gdyby w tej waszej biurokracji nie siedzieli przynajmniej 50 procent waszych córek i synów. Można się zdeklasować, zaprzęść się własnych rodziców, ale przecież przeciw deformacji moralnej powinny coraz sprawniej działać mechanizmy sankcji służbowych i politycznych.”

500 ZŁOTYCH I RENTY

Sprawy z zakresu interpretacji przepisów o możliwościach zarobkowania przez rencistów porusza „Prawa i Życie” w dwóch artykułach: Michała Ponarskiego i Eugeniusza Krzemieniewskiego.

Ten ostatni zgłasza poważne wątpliwości co do interpretacji przez ZUS przepisów obowiązujących w wypadku. Jeśli renciści zatrudnieni są w niepełnym wymiarze godzin i ponadto (lub tylko) wykonują prace zlecane. Ponarski zaś nawołuje Komitet Pracy i Płac oraz Izbę Pracy i Ubezpieczeń Sadu Najwyższego o wypowiedzenie się w kwestii: czy można powodować zawieszenie wypłaty renty, jeśli rencista osiąga jako zarobek kwotę 1000 złotych (w myśl przepisów zarobki do 1000 zł są wolne od podatku od wynagrodzeń), skoro np. procenty od kapitału w PKO w wysokości 1000 zł nie powodują zawieszenia wypłaty renty?

LEKTOR

Przeglądamy Prasę

Tylko wczoraj i dzisiaj obchodzimy następujące „Dni”: Oświaty. Książki i Prasy, w nich zaś — Polskiej Prasy Radia i Telewizji, dzisiaj — Dzień Hutnika, a jednocześnie Dni Opiekni nad Zabytkami i Tydzień PCK, od wczoraj Tydzień Ziemi Zachodniej i Północnych, trwa też Tydzień Polsko-Czechosłowacki. Można no wiedzieć, że nie ma dnia, w którym nie obchodzono by kilku „Dni”. Stąd i prasa sporo miejsca poświęca tematyce związanej z wszelkimi „Dniami”. W naszym przeglądzie zajmiemy się dzisiaj jednak problemami, które rozwiązywać przychodzi codziennie.

Oto Włodzimierz Sokorski występuje na łamach „Kultury” z artykułem zatytułowanym

PRZECIW „TERROROWI” OPINII

„W swoim czasie każdy pisarz — stwierdza Sokorski — który nadeptał na „odejski” naródowe oskarżony był z miejsca o „szarganie świętości”. Dziś (...), natomiast powstało nowe zjawisko. Zjawisko „świętości cehowej”, nie-mal kastowej, fałszywie pojętej godności poszczególnego fachu. Reportaż, film, sztuka o nieudolnym nauczycielu, złym dziennikarzu czy też szkodniku lekarzu wywołuje z miejsca powszechna burzę,

wzrwanie, protesty a nawet komplikacje polityczne i społeczne (...). Powszechny głos oburzenia „obrazonego cehu” paraliżuje twórców, redaktorów władze państwowe i cenzurę. Jak możemy pracować — rozlega się krzyk obrazonych zawodów — gdy radio, prasa, telewizja nas „szarga”. Podważacie autorytet nauczyciela, publicysty, lekarza, uniemożliwicie wypełniać posłannictwo narodowe i społeczne.”

Autor cytuje przykłady „krzyku” opinii publicznej przy telewizyjnym reportażu o nie dość pozytywnej nauczycielce, reportażu o złe pracującym PGR-ze, który w ogóle się nie ukazał, sztuki o konflikcie lekarza, zmuszonego wybierać między obowiązkiem a prywatą, która to sztuka została odwołana na żądanie Izby Lekarskiej. Także z naszej praktyki redakcyjnej moglibyśmy przytaczać podobne przykłady.

Powstaje więc problem, bynajmniej nie przesadzony. Jest to problem literatury i publicystyki bezkonfliktowej, który — jak pisał Sokorski — nie stoi u nas w płaszczyźnie afirmacji czy krytyki wypaczeń, lecz w płaszczyźnie obrony, fałszywie, a często wręcz karykaturalnie pojętej „godności” cehowej. Jest oczywiście, że każdy zawód ofiarne pracuje i ofiarne buduje socjalizm. Widzą to i twórcy, rozumieją to.

„Dlaczego jednak z tej oczywistej racji — zapytuje Sokorski — mamy się utożsamiać i utożsamiać państwo i partię z każdym nauczycielem, z każdym

lekarzem, z każdym dziennikarzem, z każdym sędzią, z każdym adwokatem, z każdym księgowym, z każdym pracownikiem PGR-u i każdym urzędnikiem państwowym i komunalnym.”

Sprawa godności zawodu doprowadza do absurdu, uniemożliwia powstawanie odważnej i zaangażowanej literatury i publicystyki. Dlatego tak istotne jest, by nie ulegać przypadkowym głosom występujących z interwencjami w wypadku, gdy chodzi o krytykę konkretnych faktów, konkretnych zjawisk i konkretnych ludzi.

„Nie dajmy się „zwariować” na gruncie godności cehowej i niechcąc do ujawniania możliwych czy też potencjalnych przestępstw — kończy Sokorski. — Pozwólmy się rozwijać krytycznej w szczególności, lecz afirmatywnej w tendencji socjalistycznej literaturze, zaangażowanej aktywnie w budownictwo socjalistyczne i przewidywanie tych zjawisk, które przeszkadzałyby twórczo i owocnie pracować zarówno państwu, jak i socjalistycznym pisarzom i dzielnikom społecznym.”

Z takiego przekonania — jeśli je ktoś uznaje — rodzi się też najbardziej zaangażowana publicystyka. Jej przykładem są w „Życiu Literackim”

IMPRESJE NA TEMAT BIUROKRACJI I KADR

pióra Władysława Machejki. Autor na szerokim tle swoich doświadczeń